

Wieś i miasto

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

WIEŚ I MIASTO

Bolesław Prus

W STODOLE.

Folwark Wilczołapy był własnością męża pani Euzebji z hrabiów Patykowskich, Jana Chryzostoma Letkiewicza, dziedzicznego dobrodzieja swej parafji, której w ciągu piętnastu lat ofiarował bezinteresownie furę chróstu na płot cmentarny i dwa nowe powrozy do dzwonów.

Budynki dominjum, o którym mowa, wraz z nieoddzielnem od nich podwórzem, formowały kwadrat, mający około pięciuset dziewięciu kroków wszerz, i takież wzdłuż. Na północnym boku kwadratu figurowała stodoła ze spichrzem, dolną młocarnią, młynkiem polskim i amerykańskim, tudzież z maneżem vel kieratem. Na przeciwnym krańcu dziedzińca, a więc na południe od stodoły, znajdował się dwór parterowy, murowany, pod gontem, a obok niego lodownia. Na zachód leżały: obora i stajnia dla koni fornalskich, tudzież wozownia i stajnia cugowa. Wreszcie na wschód stał budynek, mieszczący pańską kuchnię, izbę czeladnią, na facjatce zaś małą izdebkę, niegdyś mieszkanie ekonoma, a obecnie kurnik. Do budowli tej przytykało parę chlewków.

Jeżeli dodamy teraz, że na środku wielkiego dziedzińca znajdowała się studnia z korytem, to już chyba najzacieklejszy zwolennik szczegółów topograficznych nie zarzuci nam niesumienności, lub (czego Boże broń) lekceważenia czytelników.

Tyle o miejscu; zkolei należy powiedzieć coś i o czasie.

Dzień, w którym za osobliwą łaską nieba mieliśmy honor dotknąć stopą wilczołapskich gruntów, był zimowy i zimny. Okolice, z powodu grubej warstwy śniegu, podobna była do olbrzymiego płaskiego talerza. Śnieg leżał na ziemi, okrywał dachy, starał się utrzymać równowagę na płotach i zwieszał się niby puch łabędzi z gałązek kilkunastu drzew, które dwór otaczały. Nad dworem, stodołą, stajnią i tak dalej, niby klosz nad butersznitami, rozciągało się niebo, koloru, który nazwać było można płowym, zielonawym, lub niezdecydowanym, lecz w żadnym razie błękitnym. Kolor to był chorobliwy, przypominający mieszaninę żółtaczkę z bladaczką; dnie zimowe miewają niekiedy podobną cerę.

Było południe. We dworze państwo zajmowało się śniadaniem, w kuchni czeladź obiadem, w stodole robotnicy wypoczynkiem. Na kwadratowym podwórzcu nie słyszałeś głosów ludzkich, ani jękliwego warczenia młocarni. Słowem, na folwarku panowała zupełna cisza, na tle której od czasu do czasu rozlegał się skrzyp sanek, jadących gościńcem, lub krakanie stada wron, sejmikujących na polnej gruszy.

Przy stodole widzieć można było ludzi. Jeden z nich, o twarzy żółtej i przedwcześnie pomarszczonej, w brudnym, połatanym kozuchu, starej czapce i nie nowszych od niej butach, stał oparty o ścianę maneżu, ze skrzyżowanymi nogami, i rękami za pazuchą. Był to parobek, w lecie pomocnik pastucha, w zimie specjalista od młócenia.

Towarzysz jego miał minę gospodarza na dwudziestu morgach i kandydata na urząd wójta gminy. Wysoka barania czapka, brunatna sukmana i świeżo wysmarowane tłustością buty były nowe. Szeroki skórzany pas ścisnął mu biodra. Mierny nos, niezbyt wielkie usta i siwe oczy zdradzały pewność siebie i inteligencją. Człowiek ten trzymał pod pachą gruby kij z rzemykiem, w ręku zaś płócienny worek, w którym mieścił się jakiś przedmiot wielkości bułki chleba.

— Nie uważałeś, Jakóbie — mówił dostatni gospodarz do ubogiego parobka — czy nie był jeszcze pan na dziedzińcu?

— Kto go tam wie! — odparł parobek. — Może jeszcze i nie wstał, a jeżeli wstał, to pewnikiem szwargocze z Joskiem, albo z tym Miemcem, co łośńskiego roku las kupił.

Nastała chwila milczenia, w ciągu której apatyczny specjalista od młocarni przełożył nogi i poczochnął się plecami o ścianę maneżu. Potem spytał gospodarza:

— Cości to wam pilno, Wojciechu, musi być do pana, kiejście tyle drogi na taki ziąb przeharowali? Musi wam być co winien?...

— Winien — nie winien!... Chciałem się go ino tylko rozpyłać, co to jest, o to... Może wy wieta?...

Z temi słowy gospodarz rozwiązał torbę i wydobył z niej przedmiot formy nieregularnej, wielkości średniej bułki chleba i koloru brudno-żółtego.

Nie wyjmując rąk z za pazuchy i nie przekładając tym razem skrzyżowanych nóg, Jakób pochylił głowę i dość obojętnie przypatrywał się przedmiotowi.

— Toście znaleźli?

— A znalazłem — odparł Wojciech.

— Zwyczajnie żywica! — mruknął Jakób.

— Ale!... Nie byłoby takie twarde.

— Juźci nie ta żywica, co kapie prosto z drzewa, ale taka topiona, co to nią smyki smarują.

— Ale! ale!... Przecie ja się pytałem skrzyпка Józwy, a on powiedział, że to nie żywica, ino b u r ś t y n, taki, jak dziewczuchy na paciorkach miewają.

— A tu w nim robak, widzę, jest... Oho! i jakieś liście we środku? — mówił Jakób, patrząc na bryłę, której kawałek w jednym miejscu był nieco przezroczywszy niż w innych.

— To, co jest, to ja i sam widzę — odparł Wojciech — ale nie wiem, co to warto. W tem interes!

— Co warto! Tyle, co żywica z robakami i z liśćmi.

— Zawdy ja się dziedzica spytam; on mądrzejszy.

— Mądrzejszy do szwargotania z Miemcami.

— Zawdy ma lepszy rozum od nas.

— Żeby on ta miał lepszy rozum, toby mu rzeczy nie spisywali, a jabym miał kozuch calszy — odpowiedział niechętnie Jakób i kiwnąwszy gospodarzowi głową, leniwie powlókł się do kuchni.

— Widzieliście go, jaki mądrała, a niby pastuch! — mruknął do siebie Wojciech, patrząc za odchodzącym z pogardą.

Potem splunął, związał swój worek i wszedł do otwartej stodoły.

Tu było gwarno, jak w ulu; korzystając z obiadowej przerwy w młócce, dzieci i dorośli robotnicy, zamiast wypoczywać, bawili się na rozgrzewkę. Dwa barczyste chłopcy, Szymek ze wsi i Walek ze dworu, zrzuciwszy kozuchy i czapki, w koszulach i płóciennych spodniach schwycili się wpół rękoma i wodzili po klepisku od jednej bramy do drugiej, tak, aż im się ze łbów kurzyło. W zapolu Magda goniła Paraskę, skutkiem czego obie między snopami upadły; z dwójki tej niebawem utworzył się cały stóg ciał ludzkich, na to samo bowiem miejsce skoczyło kilkoro dzieci z belek; śmiechom i krzykom ich wtórował świergot wróbli, które kręciły się niespokojnie pod szczytem dachu.

Prawie w tej samej chwili, gdy Wojciech stanął w bramie, Szymek przewrócił Waleka, co zobaczywszy, leżąca w zapolu gromada, jeszcze z większym hałasem zerwała się i pobięła na klepisko.

— Rozdzielta ich! — wołały starsze dziewczuchy.

— Daj musuję, Walek, to cię puści! — radził zwyciężonemu kilkunastoletni berbeć, mający więcej słomy niż włosów na głowie.

— Widłami go!... — krzyczał inny.

Tymczasem zapaśnicy, wytarzawszy się i wysapawszy na klepisku, weszli ze sobą w układy.

— No! puszczaj, głupi Szymek! — mówił Walek. — Udało ci się, jak ślepej kurze ziarno...

— Ale!... — odparł Szymek, klękając na jedno kolano. — Jabym takich dwóch chuchraków jak ty zmiętosił!

Walczący wstali i poczęli skromne swoje garnitury porządkować w sposób bardzo wprawdzie stanowczy, lecz niedość salonowy. Patrzące na to dziewczęta zasłaniały oczy i śmiały się jak opętane.

Nareszcie zmiękczony Walek, znalazłszy i wytrzepawszy swoją czapkę, okrył nią głowę, włożył lewą rękę za pas i rzekł:

— Co się ty, głupi Szymku, puszysz? Obaliłem się, boś mnie wziął pod siłę, jeszcześ mi nogę podstawił...

— Zawdy Szymek mocny — wtrącił jeden z chłopaków — bierze korczyk pszenicy, jakby nic.

— Dla mnie i dwa korczyki także nic — dorzucił Szymek.

— No, słuchaj! — ciągnął Walek — choć ty niby taki mocarz, to przecie nie zrobisz tego, co ci powiem. Siądź w kuczki na hańtej ławie, a ja ci dam w gębę. Jeżeliś siłacz, to nie zlecisz i jeszcze dostaniesz kwartę wódki ode mnie.

— Oj, chyba zleci! — mówiła z powątpiewaniem jedna z dziewczuch.

— Co ma zlecić? — przerwał jej z oburzeniem chłopak z partji Szymka. — Bo to jemu pierwszy raz, czy co?... Jabym sam nie zleciał!

Zaczęły się rozprawy bardzo żwawe. Jedni dowodzili, że Szymek na ławie nijak nie usiedzi, drudzy twierdzili, że choćby ze sto razy nawet dostał, to jeszcze nie spadnie.

Szymek tymczasem, nie powiemy: namyślał się, — ale słuchał. Niski, lecz barczysty człeczyna, o ciemnych kudłatych włosach, z twarzą bladą i jakby nabrzmiałą, silny być musiał w pięści, ale w głowie djabelnie słaby biedaczysko!

To też, wysłuchawszy zdań swoich stronników i przeciwników, rozgrzany pochwałami jednych, a żartami drugich, w odpowiedzi na wszystko usiadł w kuczki na ławie i rzekł do Walka:

— A wódka będzie? — Ma się wiedzieć!

— Cała kwarta?...

— To się wie!

— No, to próbuj!

Walek uśmiechnął się, odgarnął konopiastych włosów, poprawił czapki, plunął w lewą rękę i „spróbował” tak, że głupi Szymek wraz z ławą runął na ziemię.

Gromadka widzów aż się zanosila od śmiechu.

— Żydzie! — krzyknął rozdrażniony Szymek, zrywając się z ziemi i podnosząc ławę. — Mańkutem mnie palnął, i dlatego zleciałem, ale spróbujemy się jeszcze raz!

Z temi słowy usiadł znowu w kuczki na ławie, odgrażając się, że teraz dopiero pokaże, co umie.

Walek, któremu oczy paliły się jak węgle, plunął znowu z zamiarem powtórnego „wypróbowania” sił Szymkowych, gdy wtem na środek klepiska wystąpił Wojciech, mówiąc:

— Wstydzilibyście się, Szymonie, żeby was tak poniewierali! Czy to nie widzicie, że się wszyscy śmieją z was, z gospodarza!...

Zmieszany Szymek skoczył z ławy, a nie mając żadnego argumentu narazie, mruknął:

— Jaki ja tam gospodarz!...

— Zawdy macie chałupę i trzy morgi, żonę i dzieci, i wamby to przystało kogo bić w gębę, a nie samemu brać...

— Dobre południe panu Wojciechowi!... Jak się mata, Szymonie!... A wa! jakie zimno...

Z tem powitaniem wszedł do stodoły Josek, wędrowny handlarz i faktor jaśnie wielmożnego Letkiewicza. Przybyły odziany był w długą zabłoconą i zatłuszczoną kapotę, miał bat w rękę, na głowie watowaną czapkę, a na niej dużą chustkę, która ochraniała mu nie tylko głowę, ale i szyję, krzyżowała się na piersiach i ścisnęła w pasie kapotę.

— Takie zimno, co strach! — mówił Josek, ocierając wąsy i brodę, okryte szronem. — Kubali pozdychały dziś w nocy szczenięta w stodole, a na drodze do Wólki zmarła jedna kobieta! Strach, co się dzieje!

Zakomunikowawszy to obecnym, zwrócił się do Wojciecha: — Co pan Wojciech tui robi we dworze? Może panu Wojciechowi co w lesie dworscy zabrali?...

— Nic mi nie zabrali — odparł niechętnie gospodarz.

— Może pan Wojciech chce u jaśnie pana naszego co kupić?... — badał dalej Josek z odcieniem ironji w głosie. — Szkoda czasu! bo nasz jaśnie pan nie ma nic do sprzedania...

W czasie tej gawędy Wojciech starał się ukryć swój worek przed oczyma przybyłego. Handlarz jednak dostrzegł to i ze śmiechem zawołał:

— Ny, ny!... wiem już, wiem! Pan Wojciech przyniósł swój skarb do dworu! Pan Wojciech myśli, że oni tu kupią, a oni nie kupią, bo im się to na nic nie zda, i pieniędzy nie mają.

— Kupią nie kupią, ale zawdy powiedzą, co to warte — rzekł Wojciech.

— Co to warte?... Ja już wam powiedziałem, że daję dziesięć rubli, tylko dla was. Taki bursztyn z robakiem i z liśćmi we środku, co on może być wart?...

— A mnie się widzi, że wy dacie i więcej, Josku — a nie wy, to kto inny.

— Co tu dużo gadać! — odparł handlarz. — Dam dwanaście rubli i ani grosz więcej, a boicie się, żebym was nie oszukał, to spytajcie się jaśnie pana. Tylko... że on z wami pewnie gadać nie będzie.

— Co nie ma gadać? — przerwał oburzony gospodarz. — Gada z Żydami, ba! z Miemcami, a nie gadałby ze swojakiem i katolikiem?...

Przez czas rozmowy Joska z Wojciechem, gromada rozbiegła się po zapolu. Został tylko Szymek, który skrobał się w głowę i patrzył na handlarza z bardzo zakłopotaną fizjognomią.

Josek, wysłuchawszy odpowiedzi gospodarza, odwrócił się tyłem do niego i zaczepił Szymka.

— Szymku, Szymonie! — rzekł — ja mam do was interes, chodźcie-no!

I wyszedł na dziedziniec, a za nim głupi Szymek z miną jeszcze bardziej zafrasowaną.

Gdy odsunęli się o kilkanaście kroków od stodoły, Josek zaczął:

— Jak to będzie, Szymku, z mojami pięcioma rublami?... Dwa lata trzymacie, mieliście na Nowy Rok oddać, tu już trzy tygodnie po Nowym Roku, a wy jeszcze nie oddajecie?...

— Mnie ta ludzie gadają, że wam już ze trzy razy oddałem te pięć rubli — odparł Szymek, patrząc w ziemię.

— Gwałt! — krzyknął handlarz. — Trzy razy? Czy choć kto aby jeden raz widział, jak się oddali?...

— Dałem wam już parę korcy pszenicy, żyta też, cielę, gęsi troje, wozilem was i wasze towary także nie raz i nie dwa, a wy mi ciągle te pięć rubli wymawiacie.

— Ty zawsze głupi, Szymku! Przecież to za procent, no... a gdzie pieniądze?... Jak wy mi dacie pięć rubli do ręki, to ja się już upominać nie będę.

— Skąd ja ta wezmę! — mruknął chłop, machając ręką. Handlarz zamyślił się.

— Jak nie macie teraz, Szymku, to ja wam mogę jeszcze do lata pofolgować, ale procent odbiorę.

— To i dobrze.

— Jak dobrze, to mi dacie ćwiartkę żyta.

— Sam nie mam.

— Przecie żyto młóćcie tutaj?...

— Ja tam kraść nie będę! — odparł Szymek, bystro spojrzawszy na handlarza.

— Ny, nie macie żyta, to mi dacie gęś. — Sam mam dwie całe gęsi.

— To mi też dacie jedną, a nie, to pójdę do gminy. Chłop zacisnął pięści, lecz uspokoił się i rzekł:

— Dam ci gęś, dam!...

Po tej konkluzji podali sobie ręce na znak zgody i rozeszli się: handlarz do dworu, a Szymek ciężkim krokiem do stodoły.

Tu usiadł na ławie, oparł łokcie na kolanach, twarz na szerokich i spracowanych dłoniach, i tak siedział aż do rozpoczęcia na nowo młocki.

A gospodarz Wojciech stał sobie tymczasem ze swym kijem, ze swym workiem i bursztynem wielkości bułki chleba. Widział on i odgadł rozmowę handlarza z Szymkiem, widział jego frasunek, przypomniał sobie jego zakład z Wałkiem i pomyślał.

— Oj, ten Szymek! mocny bo mocny, ale głupi taki, że pożał się Boże!... Żeby go kto namówił, toby człowieka zabił...

A potem, patrząc w stronę dworu, szepnął:

— Hej, ty Żydzio, nie okpij mnie, bo cię nieszczęście spotka!...

I ściśniętą pięść wyciągnął z gestem groźby.

Tymczasem dwaj mali chłopcy zaprzęgli do maneżu dwie pary wysokich i chudych koni i poczęli je poganiać, gwizdząc i strzelając z batów.

W stodole rozległy się krzyki podających snopy do młocki, maszyna warczała i jęczała, a Wojciech wciąż myślał:

— Ten Szymek to taki głupi, żeby nawet Joska zabił.

II.

WE DWORZE.

Jednym wady, innym zalety bokiem wyłóżą — państwo zaś Letkiewiczze, dobrodzieje swej parafji, tudzież dziedzice dóbr, w tem właśnie znajdowali się położeniu.

Najważniejszą zaletą Jana Chryzostoma było to, że pragnąc rozwinąć i uszlachetnić swego ducha, wyrzekł się całkiem pracy fizycznej, tak dalece, że w pierwszych latach gospodarki nie cesał się nawet sam, tylko poziomą tę czynność ustąpił nadwornemu fryzjerowi. Ze swej znowu strony, pani Euzebja uważała się za kapłankę idei piękna, i dlatego zerwawszy z hodowaniem kur i sadzeniem kapusty, uprawiała fortepian i rysunek, a naturalne wdzięki własne podnosiła za pomocą najświeższych i najkosztowniejszych wytworów przemysłu ludzkiego, które moda przyjęła do swych usług.

Drugą zaletą tego wzorowego małżeństwa była chlubna ciekawość poznania świata, skutkiem czego dziedziczni dobrodzieje swej parafji większą część lat wspólnego pożycia i nudów przepędzili zagranicą. Dzięki tej szlachetnej namiętności, przedystylowali z kraju i z własnej kieszeni zgorą trzykroć sto tysięcy złotych.

Dodajmy do tego, że oboje byli towarzyscy, lubili liczną i wymusztrowaną służbę, ładne konie, eleganckie meble i powozy; powiedzmy, że niezależnie od tego, pani poświęcała się balom, a pan „faraonowi” — a mieć będziemy dokładną hipotekę moralnych kapitałów właściciela Wilczołapów i jego małżonki.

W chwili, gdy młode stadło ślubowało sobie dozogonną miłość i wierność, majątek pana w dobrach i gotowiźnie wynosił dwakroć, pani — pięćkroć. Kilkunastoletnie jednak i zobopólne kształcenie wyższych stron natury ludzkiej sprawiło, że w roku, w którym rozegrały się opowiedziane przez nas wypadki, stan finansowy małżonków był następujący:

Wilczołapy — wraz z budynkami, inwentarzami, narzędziami, powozami i meblami — warte były dwakroć; długi zaś państwa hipoteczne i osobiste przenosiły sto osiemdziesiąt tysięcy. Całe ich szczęście, a może nieszczęście, było to, że ani na lekarstwo nie mieli dzieci, co ich jednak nie trapiło, pani bowiem chciała być wiecznie młodą, pan zaś chciał całe życie być wolnym od kajdan rodzinnych.

Podobny skład rzeczy pesymista nazwałby opłakanym, oboje jednak Letkiewiczowie byli dobrej myśli. Silna imaginacja podszeptowała im, że wcześniej lub później muszą odziedziczyć spadek po jakimś nieznanym krewnym, który dotychczas przynajmniej nie figurował na ich drzewie genealogicznem, lecz w każdym razie posiadać musiał nadwątłone zdrowie i milionowy majątek. Jedno ich tylko martwiło, to mianowicie, że domyślny krewny nazbyt długo nie umierał, a tym sposobem nie pozwalał im przystąpić do budowy pałacu z dwiema wieżami i kuchnią w suterynach, o którym oddawna marzyli.

W oczekiwaniu na pałac z paryskimi meblami i angielską służbą, przepędzali czas w kaducznie podszarzanym wilczołapskim dworze. Wprawdzie na podłogach jego sterczały drzazgi, ze ścian tynk oblatywał, okna w kredensie zalepione były papierami; wprawdzie połowa drzwi nie domykała się, klamki były poukręcane, portjery i meble spłowiały, dywany móle stoczyły, — lecz na drobiazgi te nikt nie zważał. Dusze obojga państwa mieszkały w pałacu z dwiema wieżami i kuchniami w suterynach, a cielesne oczy ich nigdy nie zniżały się do rozpatrywania rzeczy nieestetycznych.

Dnia dzisiejszego o godzinie dwunastej, oboje państwo byli razem, ona w bieli, on w pięknym niegdyś szlafroku z popielatego sukna, z ponsowemi wyłogami. Jedli śniadanie, przyczem mniej

pobłażliwy obserwator łatwo mógłby dostrzec, że cera pani nie o wiele była jaśniejszą od mlecznej kawy, i że pan nie ma zębów ani sztucznych, ani naturalnych, lecz natomiast posiada coś nakształt bardzo naturalnej łysiny.

— Czy ten von Oschuster nie raczy przyjść do stołu? — spytała po francusku pani Euzebia, rzucając z poza filiżanki omdlewające spojrzenie na swoją męską połowę.

— A nie raczy, niestety; udaje bardzo zajętego, a podejrzewam, że się poprostu żenuje nas — odparł w tymże języku pan.

Nawiasowo dodajmy, że państwo Letkiewiczowie tylko po francusku rozmawiali z sobą; ordynaryjną polszczyzną zaś posługiwali się w stosunkach z drobną szlachtą, lokajami i innym prostactwem.

— Cóż on robi? — spytała znowu pani.

— Taksuje nas!... według demokratycznych zasad — odpowiedział pan:

— Jakże obecnie stoją twoje układy?

— On za Wilczołapy daje dwakroć...

— Wcale mało! — odparła dama z grymasem.

— Istotnie mało! — potwierdził pan — tem bardziej, że są jeszcze jakieś tam długi...

— Ach, te długi! — przerwała pani takim tonem, jakby *ja* wspomnienie długów do ziewania pobudzało. — Ciekawam bardzo — dodała — ile też ich być może?

— Przyznam ci się, duszko, że sam nie wiem! Musi być naturalnie trochę Towarzystwa, jest jakaś tam suma tego kupca Szafranowicza, jest trochę długów hipotecznych żydowskich, no — i nieco osobistych.

Wielka dama ani na chwilę nie przypuszczała, ażeby długów takich, które komornik mógł wyciskać, było aż sto osiemdziesiąt tysięcy.

W tej chwili wszedł do pokoju lokaj, młody chłopak :z włosami podobnymi do drutów i głupowatą, lecz przebiegłą fizjognomią. Dźwigał on na sobie liberyjny frak, posiadający około trzech metalowych guzików, ponsową kamizelkę, na której widać było ślady świec i szuwaksu, tudzież kamasze, które starały się przekonać świat, że ich obecny właściciel posiada u każdej nogi po pięć palców.

Chłopak ten trzymał w ręku tacę, pamiętającą, bardzo dawne czasy, a na niej list.

— Kto przywiózł? — zapytał pan, nie patrząc nawet na służącego.

— Josek, proszę jaśnie pana!

Dziedziczny dobrodziej swojej parafji wziął list, obejrzał adres i pieczętkę, a następnie, rzuciwszy kopertę na stół, szybko przebiegł go oczami.

— Awantura! — zawołał pan. — Wyobraź sobie, że nas gwałtem, ale to gwałtem proszą na bal składkowy do powiatowej mieściny...

— Któż na nim będzie? — spytała niedbale pani.

— Gospodyniami będą panie: Kukalska i Gęgalska...

— Ach! Gęgalska... wiem! spokrewniona z hrabią Wyporkiem.

— A przez niego z Wiktorem Emanuelem — dodał uroczyście Jan Chryzostom.

— Trzeba być, kiedy Gęgalska!... — szepnęła zamyślona pani.

— Składka dziesięć rubli — rzekł jakby do siebie pan. — A przytem toaleta!...

— To najmniejsza! pošlemy po nią do Warszawy — odpowiedziała pani, pragnąc widocznie pocieszyć i uspokoić małżonka.

Usłyszawszy to, Jan Chryzostom oparł głowę na rękę i począł palcami bębnić w czoło. Ludzie złośliwi sądziłoby mogli, że z tego czoła nic się już nie wybębni nawet obuchem; stało się jednak

inaczej. Zafrasowany Letkiewicz widocznie jakiś plan musiał wystraszyć ze swej głowy, rozkazał bowiem lokajowi wezwać Joska do gabinetu.

Potem wstał i pełnym szacunku pocałunkiem pożegnał swoją żonę, która w tej chwili zapewne myślała o śmierci nieznanego krewnego, o pałacu z kuchniami w suterynach i o stopniu pokrewieństwa, istniejącego pomiędzy panią Gęgalską a Wiktorem Emanuelem.

Przechodząc do gabinetu przez salon, dziedzic dóbr znalazł w nim pochylonego nad księgami gospodarskimi i mapą Gotlieha von Oschuster. Młody ten człowiek, który z całego zarostu posiadał tylko ostrą bródkę, był z powołania agronomem, a zarazem ajentem jakiejś berlińskiej spółki, która na drodze wykupywania dóbr i wypędzania ich właścicieli, pragnęła uszczęśliwić i ucywilizować barbarzyńską okolicę...

Specjalność von Oschustra na ciernistych niekiedy stawiała go drogach. Nie każdy dziedzic zmuszony był sprzedawać swój majątek, gdy się zaś trafił jaki skorszy nieco do handlu, wówczas począł traktować z ajentem, lecz wkońcu majątek sprzedawał włościanom, niekiedy nawet za niższą cenę. Stosunki tego rodzaju i cierpkie zdania, jakich niekiedy pan Gotlieb wysłuchać musiał o cywilizacyjnej misji Niemiec, ostatecznie zniechęciły go do miejscowego elementu. To też ze wstrętem do półdzikich mieszkańców obrabianej przez niego okolicy von Oschuster bynajmniej się nie krył.

Gdy dziedzic dóbr wszedł do salonu, zbliżył się do Gotlieba i rzekł z protekcyjnym uśmiechem:

— Cóż, mamy dużo roboty nad temi szpargałami?

— Tak! — odparł ajent. — Ja mam dużo roboty! Straszny tu nieład.

— Co pan chcesz, z takimi łotrami, jak nasi oficjaliści?...

— Tak! — potwierdził Gotlieb. — Tu wszyscy albo osły, albo łotry.

Ostatnia uwaga, pod tak ogólnym wyprawiona adresem, wywołała lekką zmarszczkę na czole Jana Chryzostoma. Starał się ją jednak połknąć, ponieważ ajent o dwadzieścia tysięcy dawał za majątek więcej niż inni.

Pragnąc jednak zatrzeć przykre wrażenie, spytał znowu Gotlieba:

— Czy nie będziesz pan w naszym miasteczku na balu składkowym?

— Ja? — spytał zdziwiony ajent, podnosząc głowę..

— Wyrobię panu zaproszenie! — zauważył dobrotliwie dziedzic dóbr.

— Zaproszenie? Ja do Torunia nie pojechałem na bal, choć mnie tam sami zaprosili.

— Nie dziwię się; Toruń przecież dalej...

— No tak! — przerwał ajent. — Ale w Toruniu jest towarzystwo, w którym ja mogę być na balu.

Teraz Letkiewiczowi przyszło na myśl, że jego sąsiad, pan Anastazy Paliwoda, za podobną odpowiedź z pewnością wyrzuciłby ajenta za okno. Przez chwilę, sam on miał chęć wyrzucić go przynajmniej za drzwi; barbarzyńskie te jednak zachcianki szybko przeszły, gdy przypomniał sobie, że von Oschuster ofiaruje mu za majątek dwadzieścia tysięcy więcej, niż inni. Skończyło się więc na tem, że milcząc poszedł do gabinetu.

Tymczasem, wezwany przez służącego do jaśnie pana, Josek włożył swojej dziesięciorublowej kobylinie worek siczki na łeb, a idąc do dworu, rzekł do lokaja:

— Słuchaj ty Ignac! chcesz ty ode mnie dostać paczkę papierosów?

— Cobym nie miał chcieć!

— Nu, to idź ty do Wojciecha do stodoły i zapytaj go się, czego on chce? A jak on ci powie, że chce gadać z jaśnie panem, to ty jemu powiedz, że jaśnie pan powiedział, co on z takim ciarachem nie gada.

— Pójdę! — odparł lokaj — ale dacie dwie paczki.

— Ny, ny!

W kilka minut potem markotny Wojciech, po krótkiej rozmowie z lokajem, wracał do wsi, klnąc na czem świat stoi — jaśnie wielmożnego Letkiewicza, jego małżonkę, ich służbę, tudzież cały ruchomy i nieruchomy majątek. Josek zaś, zgięty w pałąk, jak etykieta nakazywała, wszedł do gabinetu przyszłego właściciela pałacu z dwiema wieżami i kuchniami w suterynach.

— Kłaniam jaśnie panu! co jaśnie pan Joskowi rozkaże?

— Potrzebuję czterystu do pięciuset rubli na jutro.

— Aj waj!

— Głupiś! — rzekł jaśnie pan, otaczając się kłębamii dymu i opierając głowę na tylnej poręczy fotelu.

— To prawda, jaśnie panie, że Josek głupi, ale skąd ja wezmę? Żeby jaśnie pan wszystkich Żydów z miasteczka pod magiel kazał włożyć, to jeszczeby z nich na jutro pięciuset rubli nie wymagowali.

— Potrzebuję na jutro pięciuset rubli! — odpowiedział mu stanowczo dziedzic.

Handlarz poskrobał się w głowę, pomyślał i rzekł:

— Ja jaśnie panu co powiem. Ja dla jaśnie pana sprzedałbym moją żonę i dzieci, no i ja na jutro będę miał pięćset rubli. Ale jaśnie pan da na zastaw srebra i pieścionki i może kolczyków z parę, bo widzi jaśnie pan, ja pieniądze będę miał od kasjera...

— Mniejsza o srebro. Pieniądze zwrócę ci za miesiąc, a kosztowności przez ten czas mogą u kasjera poleżeć.

— Może miesiąc... może rok... — odparł handlarz. — Ale jaśnie pan da rewers na siedemset rubli i Joskowi co za fa-

Po tych słowach, otrzymawszy pozwolenie odejścia, handlarz wysunął się z gabinetu, minął pokój środkowy i wszedł do salonu.

Tu szepnął do Gotlieba:

— Panie, siedemset rubli za pięćset; srebra na zastaw... Josek dostanie pięćdziesiąt rubli faktornego?

— Na kiedy? — spytał agent, nie podnosząc głowy.

— Na jutro.

— Dam. Jakże z długiem Szafranowicza?

— Ciężka sprawa! Szafranowicz chce go ustąpić Żabickiemu.

— Głupiec! Postąp jeszcze.

— Żabicki także postąpi — odparł handlarz.

— Łotry! No, a jakże z Żydami?

— Oni także panu nie dowierzają. Von Oschuster podniósł głowę.

— Cóż to znaczy?... — spytał zdumiony.

— Co pan chce?... Pan myśli, że u nas wszystkie Żydy takie dobre jak ja?... Oni mówią...

— Cóż mówią?

— Mówią z przeproszeniem, że jak się tu Niemców nalezie, to i Żydów djabli wezmą!

— Dam ja im! — mruknął agent, zabierając się znowu do przeglądania papierów.

Handlarz spojrział na niego ukosem i śmiejąc się, wyszedł z pokoju. Na podwórzu zatrzymał się, popatrzył w okna salonu i szepnął:

— Dam ja im?... Aj waj!... On nam da, a co on nam da? On sobie myśli, że kupi Wilczołapy i będzie torf kopał, a nie wie, że pan Żabicki z Szają już obstalowali torfiarkę. Aj waj! jaki on głupi...

Niedługo potem pani Euzebia z okien buduaru mogła widzieć Joska, podrygującego na swej biedce, w kierunku najbliższej miejsciny. I widziałaby go niezawodnie, gdyby marnej figury Żyda i jego suchotniczej kobyliny nie zasłaniało widmo konającego krewnego milionera i pani Gęgalskiej, kuzynki Wiktora Emanuela.

Tymczasem Josek w połowie drogi spotkał zafrasowanego Wojciecha z jego kijem, workiem i bursztynem; zwalniając bieg szkapę, rzekł:

— Wojciechu! panie Wojciechu!... jedno słowo, dam wam piętnaście rubli za bursztyn.

— Dacie i więcej, a nie wy, to kto inny — odparł zacięty wieśniak.

— Czego wy tak zhardzieli teraz, Wojciechu? Z wami nawet gadać nie można!... Żebym ja wam powiedział sto rubli za ten bursztyn, tobyście także chcieli więcej. Powiedzcie ostatnie słowo?

— Ja tam z wami gadać nie chcę! — odmruknął Wojciech.

— Wolna wola... bywajta zdrowi!

— Jedźta z Bogiem!

Handlarz zaciął chudą szkapę i pojechał naprzód, Wojciech zaś skręcił na drogę boczną do wsi, ciągle myśląc o głupim Szymku, który zdecydowany był na wszystko, o na wszystko! bo niczego dobrze nie rozumiał.

III.

W RESTAURACJI.

Pierwszorzędna restauracja w mieście powiatowem.. nie różniła się niczem od innych tego rodzaju zakładów. Posiadała bufet ze wszelakimi przynależnościami, między którymi ser szwajcarski, sardynki i wieszadła na paletoty najwydatniejsze zajmowały miejsca. Miała salę główną i parę bocznych gabinetów, w których obok stołów znajdowały się krzesła i spluwaczki, obok oliwy i pieprzu podarte i zabrukane dzienniki, a obok luster, bitwy pod Wagram i koronacji Napoleona I-go, wizerunki dzikich kaczek, zajęcy i raków.

Tego rodzaju instytucje cieszą się wogóle popularnością, do jakiej po wsze czasy napróżno wzdychać będą biblioteki, muzea i t. p. spiżarnie wiedzy. W restauracji pokrzepia nadwątlone siły obywatel ziemski, który przyjechał do powiatu w celu wydobycia się z sekwestratorskich szponów. Tu zabijają resztkę dnia różni sekretarze, pomocnicy i adwokaci, czujący wstręt do zajęć umysłowych. Tu prowincjonalny poeta czyha na ofiarę, którejby mógł, za cenę paru butelek piwa drozdowskiego, odczytać najświeższy swój utwór. Tu spotykają się sąsiedzi, godzą nieprzyjaciele, waśnią dobrzy znajomi i zbierają wiadomości nieurzędowi reporterzy, niesłusznie nazywani plotkarzami.

W dziesięć dni po zaciągnięciu przez pana Letkiewicza pięciusetrublowej pożyczki od Joska, w tejże restauracji, około pierwszej w południe, w oddzielnym gabinecie siedziało kilku młodych ludzi z warstwy „inteligentnej.” Był tu pan Scyzorski lekarz, pan Sontag asesor sądu, pan Goldcweyg adwokat, a wkońcu korespondent do dzienników, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego, pan Bąkałski, który drogi czas swój obracał na zbieranie wiadomości bieżących, zasiewanie idei postępowych i kwestowanie prenumeraty.

— Oto są, panowie, najświeższe wiadomości o naszym balu — mówił korespondent. — Pani Letkiewiczowa wykreśliła z listy zaproszonych osób panią Szafranowiczową, dlatego, że jej mąż pieprzem handluje, a dwie panny Sonabend dlatego, że ich ojciec jest piwowarem!

Powiedziawszy to, znakomity Bąkałski spojrział po obecnych z miną generała, który wygrał kawalek bitwy.

— Oszalała baba! — mruknął lekarz.

— Niedość tego — ciągnął korespondent — pani Gęgalska bowiem najzupełniej potwierdziła jej wyrok i odwołała zaproszenia wysłane do tych dam. Może mi da który papierosa, bom nie wziął.

— Masz, doktorze, zjednoczenie warstw, zbliżenie wsi i miasta!... — wtrącił Sontag.

— O czem pisałem w zeszłym roku w politycznej gazecie! — przerwał korespondent.

— Masz dowód, w jaki sposób idee liberalne przesiąkają do tych warstw zapleśniałych — mówił Sontag.

Korespondentowi poczerwieniała twarz, a oczy wyszły z orbit.

— Panowie! — zawołał ten niepospolity człowiek. — Idee liberalne to dzieci mego ducha, to wieniec mojej zasługi, to wyraz, który każę sobie wyryć na kamieniu grobowym. Gazeta, którą podpieram, w pieluchach jeszcze służyła tym ideom, a jakże ją ogół przyjął!...

Ale ja — ciągnął dalej — bez względu na niechęć i ciemnotę mas, pozostanę wierny moim zasadom. Szacunek dla wszystkiego, co wielkie i piękne, równość wszystkich użytecznych członków społeczeństwa, bez względu na tytuły i nazwiska — oto mój program!... Garson, błaznie! podaj jeszcze dwie butelki piwa.

Uważnie przysłuchujący się wspaniałej mówce Sontag miał wszelkie prawo sądzić w tej chwili,

że garsoni nie należą do użytecznych członków społeczeństwa.

Gdy nowe butelki przyniesiono, zabrał głos Goldcweyg.

— Summa summarum, uważam, moi panowie, za właściwe wycofać się z waszego balu. Jadam wprawdzie wieprzowinę, kocham wszystkich braci moich bez względu na stan i religję, ale skandalu wywoływać nie myślę. Jeżeli pani Letkiewiczowa nie chce tańczyć obok pani Szafranowiczowej, to któż mi zaręczy, że godny jej mąż nie zechce mnie, Żyda, wyprowadzić z salonu?

— Albo sam wyjść, przy pomocy którego z lokajów — wtrącił Scyzorski.

— Kochany Henryku! nie bądźże dzieciakiem! — zawołał roznamiętniony korespondent. — Letkiewiczowa miała za sobą przynajmniej cień słuszności w postępowaniu z temi damami, one bowiem pochodzą z Niemców. Ale tyś przecie Żyd, tyś nasz.

Z temi słowy wielki człowiek schwycił za ramię Goldcweyga i targnął nim tak silnie, jakby miał zamiar wytrząsnąć z adwokata wszystkie artykuły prawa o dłużnikach.

— Rozumiem! — odezwał się Sontag. — To ja właściwie nie powinienem być na balu, ponieważ z Niemców pochodzę.

— Przebóg! — wrzasnął Bąkalski. — Ja przecież nie mówiłem o takich zacnych obywatelach kraju, jak ty i tobie podobni, którzy macie tylko obce nazwiska, ale raczej o tych, którzy przychodzą do nas z felejzami na plecach, dorabiają się tu majątku i nie umieją nawet języka miejscowego.

— Mój stary ojciec — odparł spokojnie Sontag — przybył także do kraju z feleją, tu dorobił się majątku i do dziś dnia nie mógł się jeszcze nauczyć języka.

— Bronisławie! — zawołał znowu Bąkalski. — Czy możesz sądzić, abym ja miał na myśli twego czcigodnego ojca, zacnego producenta wyrobów fajansowych, człowieka, który dał zajęcie tysiącom rąk...

— Jego ojciec ma sześćdziesięciu robotników, dał więc zajęcie tylko stu dwudziestu rąkom — wtrącił Scyzorski, którego rozmowa ta w wysokim stopniu gniewała.

— Nie przerywaj, Kaziu! — ofuknął go korespondent, a potem dodał: — Panowie! ja szanuję ojca naszego Bronisława, człowieka, który chce dać na otworzenie polskiego pisma; ja czczę starego Sontaga, ja uwielbiam tych wszystkich dzielnych ludzi, którzy z felejzami na plecach przychodzą do nas z odległego Zachodu, aby wychować takich synów. Bronisławie! Sontagu młodszy! daj pyska...

Jakkolwiek ostatnie zdania utalentowanego Bąkalskiego, zestawione z poprzedniemi, dowodziły pewnego zamętu w procesach psychicznych, biesiadnicy nie zważali na to jednak, znając go już oddawna.

— Wierzę ci, mój redaktorze — odpowiedział Sontag — z tem wszystkiem jednak na balu nie będę. Przy zaletach, których ci nie odmawiam, jesteś tylko trąbą opinii publicznej, a to, coś powiedział, jest jej głosem.

— Zgadzam się na wniosek Sontaga, ja też nie będę! — dorzucił Goldcweyg.

W tej chwili ciemniej się zrobiło w pokoju, we drzwiach bowiem ukazała się czerwona twarz, wielkie niedźwiedzie i jeszcze większe szpakowate wąsy Żabickiego.

— Dość tych bredni! — huknął przybyły. — I Goldcweyg, i Sontag, obaj musicie być na balu.

Wychudłe i wybladłe mieszczuchy spokorniały od razu wobec olbrzymiego i tak dobrze utrzymanego wieśniaka; kilka minut upłynęło nim najśmielszy z nich, Goldcweyg, ochłonał i rzekł:

— Nie możemy być, panie, nie chcemy bowiem psuć zabawy i narażać się na szykany.

— Cicho mi bądź, ty niedojrzały szparagu! — przerwał Żabicki. — Jestem gospodarzem balu, a kto wam uchybi, ze mną mieć będzie do czynienia.

Jasny blondynek Sontag i nierozumiany przez ogół apostoł liberalnych idei Bąkalski z respektem spojrzeli na ogromne dłonie wieśniaka, prosząc w duchu Boga, aby ich na zatargi z Żabickim nie

narażał.

— Zwracam jednak pańską uwagę, że na balu jest gospodynią pani Gęgalska, a większość na nim stanowią będą obywatele ziemscy.

— Jeżeli chodzi o herby — przerwał Żabicki — to mój jest taki dobry, jak i wszystkich Gęgalskich. Jeżeli zaś chodzi o rozum, to czy sądzisz, mój adwokacie, że prawnicy i redaktorzy wszystek już rozum wzięli w arendę, tak że dla nas, obywatele ziemskich, nic nie zostało?

— Podoba mi się ten hreczkosiej! — zawołał Bąkalski. — Równość! idee liberalne! oto rezultat oddziaływania mojej gazety, którą podpieram, na zacofanych wieśniaków. To moja myśl! to moje zasady!

— Egzagerujesz, kochany panie — odparł chłodno Żabicki. — Jeszcześ kotom pęcherze do ogonów przywiązywał w owej epoce, kiedyśmy znali i praktykowali zasady, które dziś swoim wynalazkiem nazywasz. Ale nie o to tu chodzi. Rozsądny ogół nasz nie zna wieśniaków, ani mieszczan, Żydów ani Niemców, tylko obywatele więcej lub mniej ukształconych i zdolnych do towarzyskiego życia. Z tych tedy powodów, jeszcze raz powtarzam, że nie tylko Sontag i Goldcwejg, ale nawet pani Szafranowiczowa i panny Sonabend muszą być na balu. W przeciwnym razie cofnę się ja i trzydziestu moich sąsiadów, to jest prawie wszyscy wieśniacy.

Po tej odezwie, pogadano jeszcze o polowaniu, o wyższości win węgierskich nad francuskimi, tudzież preferansa nad djabełkiem, poczem towarzystwo rozeszło się. Został w gabinecie tylko Sontag, do którego niebawem przysunął się Gotlieb von Oschuster, od paru dni nieobecny w Wilczołapach, a od kilku godzin przebywający w mieście X.

— Dobrze, zem pana znalazł! — rzekł ajent po niemiecku — ponieważ chciałbym panu przedstawić pewien projekt.

— Słucham pana — odparł obojętnie Sontag, który będąc figurą sądową, nienajlepszą miał opinią o siewniku cywilizacji zachodniej.

— Uważa pan — ciągnął Oschuster — w mieście tem znajduje się kilkanaście rodzin naszych, dla dobra których chciałbym założyć nasz klub...

— Nie rozumiem pana...

— No, klub, w którym moglibyśmy mieć nasze książki, rozmawiać własnym językiem, ogrzewać serca rodzinnymi ideami, wzmocnić węzły, łączące nas z odległą ojczyzną, a nadewszystko wspólnie przepędzać czas, aby tym sposobem uniknąć obmierzłych stosunków... Zrozumiałeś mnie pan?

— Zrozumiałem! — odparł drżącym z gniewu głosem Sontag, któremu krew do głowy uderzyła. — Zrozumiałem, i na dowód tego proszę pana, w imieniu mego ojca, siostry, a wreszcie mojem własnem, abyś przestał bywać w naszym domu!

To powiedziawszy, wstał i chwycił za kapelusz.

— Co to znaczy, panie Sontag? — zawołał przerażony ajent.

— To znaczy, panie von Oschuster, że rodziny nasze mają stanowczy zamiar unikać obmierzłych stosunków.

I wyszedł, przyprawiwszy o mocny zawrót głowy ajenta spółki berlińskiej.

W tej samej restauracji, lecz w innym gabinecie, rozprawiali także o mającym nastąpić balu, panowie: Anastazy na Fucharach Fucharowicz, Mączarski z Mączar i wynędzniały tak pod względem fizycznym, jak i umysłowym, jedyny syn Gęgalskich, Fonsio, którego najpobłażliwsi przyjaciele domu nazywali „nierozwiniętym Fonsiem.”

— Bądź co bądź, ja jednak myślę, że pani Letkiewiczowa bardzo dobrze zrobiła, odpraszając te damy — mówił pan na Fucharach. — Inaczej bowiem do przyzwoitego towarzystwa wdarłoby się mnóstwo różnego rodzaju procederzystów i tym podobnej kanalji.

— Tak! kanalji... Moja mama mówiła to samo, słowo honoru daję! — wtrącił nierozwinięty Fonsio.

— Ależ sąsiedzie — odparł pan Mączarski — my, rolnicy, jesteśmy także procederzystami, a z drugiej znowu strony, między mieszczuchami znajduje się bardzo wielu ludzi ukształconych, dobrze wychowanych, a nadewszystko zacnych.

— No!... słowo honoru daję! z ust mi pan wyjął to zdanie. Ja zupełnie to samo chciałem powiedzieć — odezwał się Fonsio.

— Przyznaj jednak sąsiad — bronił się Fujarkiewicz — że te, jak ich nazywasz, mieszczuchy, są niezdolnymi zarozumialcami, za wiele gadają o swoim rozumie, a za mało cenią zasługi nasze.

— Słowo w słowo to samo mówi moja mama, a ja nie waham się przyznać racji panu. Fujarkiewiczowi — dorzucił Fonsio.

— Mój sąsiedzie — odparł Mączarski — każdy ma swoje wady i zalety. Ten jednak, mojem zdaniem, stoi najwyżej, kto siebie pilnuje, innymi nie pomiata i nie mnoży szkodliwych waśni. Pamiętajmy o tem, mój sąsiedzie, że czasy się zmieniły, i że wreszcie tak ci, którzy rano, jak i ci, którzy nad wieczorem przyszli do winnicy Pańskiej, jednakową otrzymali zapłatę.

— O właśnie! zupełnie to samo mówi mój wuj, hrabia Wyporek. Ja zawsze utrzymywałem, że się czasy zmieniły, i że jak tylko chłopci przestali odrabiać pańszczyznę, natychmiast wszystko zdroczało... Słowo honoru daję, że takie jest zdanie mego wuja hrabiego i moje.

W taki to sposób ludzie rozprawiali o balu w mieście powiatowem, i takim był Fonsio Gęgałski, dziedzic pięknego imienia, obszernych dóbr, a zarazem przyszły filar społecznego gmachu, przyszły działacz na arenie pracy obywatelskiej.

IV.

JOSEK TRIUMFATOR.

Siedział sobie Wojciech gospodarz w szopie i ciosał dyszel do wozu, kiedy najmłodszy syn dał mu znać, że jacyś Żydzi przyszli do chaty.

— A nie gadali czego chcą?

— Nie gadali, ino kazali matusi, żeby im pokazali tego robaka.

— Jakiego robaka? — spytał ojciec, ująwszy się pod boki ze zdumienia.

— A hańtego, co leży w skrzynce z tym kamieniem!

— Jaki tam robak, to przecie bursztyn! — objaśnił chłopca po raz setny ojciec, naciągając na rękawy sukmanę.

Zamknawszy szopę, skierowali się do nowej i obszernej chaty, minęli sień jej, w której napróżno szukałbyś prosięcia lub krowy, i weszli do izby. Izba ta, oprócz półek przepelnionych garnkami i misami, pod którymi siedziały łyżki drewniane i blaszane, oprócz ławy, stołu na koziołkach i skrzyni w kwiaty, posiadała jeszcze malowany stół, także łóżko i parę prostych krzesełek. Okna były tu sześcioszybowe i otwierane, na ścianach zaś wisiało kilkanaście obrazów za szklami.

Dwaj Żydzi, przybyli z miasteczka, stojąc pod ogromnym glinianym piecem, uważnie oglądali bursztyn i szwargotali coś między sobą. Gdy wszedł Wojciech, nastąpiły powitania, poczem jeden z przybyłych rzekł:

— Ładna sztuka! my tokarze znamy się na tem. Czy to do sprzedania?

— Juści że tego w chałupie trzymać darmo nie będę. A cobyśta dali?

Poszwargotawszy znowu ze współnikiem, Żyd odpowiedział:

— Dziesięć rubli... może jednaście...

— I, nie zawracalibyśta głowy! — odparł oburzony gospodarz. — Mnie Josek już dawał za to piętnaście rubli... może nie prawda, Małgoś, co?

Zdrowa i hoża kobiecina, którą za spódnicę trzymał silnie syn najmłodszy, odpowiedziała twierdząco.

— Piętnaście rubli to jeszczeby można dać, choć ze strachem — powiedział drugi Żyd — ale dla nas to wielkie ryzyko. Jeżeli chceta zarobić więcej, to porąbcie go na kawałki, a wtedy lepiej wam wypadnie, bo każdy będzie mógł kupić. No, Wojciechu, chcecie piętnaście rubli?

— Nie chcę.

— A nie macie czego innego do sprzedania?... może skóry?

— Może żyto? — dodał drugi Żyd.

— Nie mam nic, idźta z Bogiem!

Gdy Żydzi wyszli, Wojciech po namyśle zwrócił się do żony:

— Słyszysz, Małgoś, co te pary gadają, żeby bursztyn potłuc?

— Co nie miałam słyszeć! Juści to prawda, że choć niedowiarki, dobrze radzą.

— Ale! — wtrącił Wojciech, drapiąc się za ucho.

— Miarkujże sam — ciągnęła żona — jak jest głowa cukru, to jej byle kto nie kupi, ino pan albo proboszcz; a jak sprzedają kawałkami, to kupi nawet chłop, a zawdy Żydy na tem nie tracą, ino jeszcze zarobią.

Uderzony trafnością tej uwagi, Wojciech pomyślał, obejrzał naprzód na wszystkie strony bursztyn, potem tasak, znowu pomyślał, znowu obejrzał i w końcu zabrał się do łupania. Urzeczywistniwszy ten świetny pomysł, wsypał kawałki do worka, worek zamknął w skrzynię, a sam

wrócił do szopy ciosać swój dyszel i myśleć o interesie, jaki zrobił.

Ukończywszy robotę, zjadł w chacie misę barszczu, zaprawionego mlekiem i cebulą, drugą misę kartofli, trzecią kaszy ze słoniną, przyłożył to wszystko kilkoma kawałkami chleba, a wreszcie zapalił fajkę i rozparł się na krześle, czekając na kupców.

Istotnie czekał niedługo; nie upłynęło bowiem i pół godziny, gdy zjawił się Josek.

— Nie żartujcie, gospodarzu — zaczął handlarz — ino naprawdę zróbcie ze mną handel na bursztyn.

— A za ile chceta? — spytał wieśniak, zaciągając się tak mocno, że aż mu fajka niby klarnet zagrała.

— Za ile ja chcę? — spytał z uśmiechem handlarz. — Jabym nawet wziął za rubla!

— Małgoś! doładź ta worek i daj mu ta za rubla kawałek! — rozkazał mąż, rozparł się jeszcze mocniej i zagrał na fajce jeszcze głośniej.

Posłuszna kobieta, w towarzystwie najmłodszego syna, który ją ciągle trzymał za spódnicę, wydobyła i rozwiązała worek. Josek, zobaczywszy kawałki, wybuchnął śmiechem tak gwałtownym, że aż usiąść musiał na ławie.

— Czego się ten para śmieje? — spytał zaniepokojony nieco Wojciech.

— Jak ja się nie mam śmiać — odparł handlarz — kiedyście takie głupstwo zrobili! — Za ten bursztyn, póki on był cały, toście mogli drugie tyle gruntu kupić, ile macie, a za te kawałki to wam i trzydziestu rubli nikt nie da.

To powiedziawszy i śmiejąc się ciągle, wybiegł Josek z chaty. Siadając do biedki, słyszał lament Małgorzaty, krzyk dziecka i klątwy Wojciecha, co go jeszcze do większej wesołości pobudziło.

Teraz dopiero tak haniebnie oszukany wieśniak przypomniał sobie, że niedaleko stąd mieszka pewien nadleśny, człowiek rozumny i uczciwy, do którego cała wieś miała zwyczaj chodzić po radę, lecz z którym Wojciech niezbyt dawno pokłócił się o drzewo. W tej chwili jednak niechęć mu znikła, a przerażony gospodarz zaprzągnął drżącymi rękami konia do sanek i pojechał na leśnictwo, razem ze swym bursztynem.

Przybywszy tam, zastał szczęściem nadleśnego w domu, uściskał go parę razy za nogi, nazywał wielmożnym i dobrodziejem, a wreszcie opowiedział całą historją ze swoim skarbem i Joskiem.

Nadleśny wysłuchał opowiadania, obejrzał kawałki i powiedział Wojciechowi, że podobna bryła bursztynu z zawartemi w niej liśćmi i robakiem, warta była kilkaset rubli, lecz że w obecnym stanie bez porównania mniejszą wartość przedstawia.

Blady jak trup Wojciech, ledwie stojący na nogach, wysłuchał opinii nadleśnego. Potem jeszcze raz go uściskawszy i utytułowawszy, wsiadł na sanki z powrotem.

Przejeżdżając przez las, zauważył w nim pewną dziką jabłonkę, przy której się zatrzymał., Potem urznął kozikiem kawałek lejców, przywiązał je do drzewa, mając widoczny zamiar obwiesić się ze zmartwienia.

W ostatecznej jednak chwili przyszła mu na myśl żona, dzieci, gospodarstwo, a wreszcie i owe kawałki bursztynu, które, bądź co bądź, warte były jeszcze kilkadziesiąt rubli. Zmienił więc zamiar i odwiązał powróż od drzewa.

Teraz jednak nowa go oczekiwała niespodzianka: zwawy bowiem i dobrze wypasiony konik jego, nie czując lejców, począł klusem pomykać przed siebie. Napróżno Wojciech krzyczał: „Trrr! małuśki! stój, gniady!” Gniady bowiem, widocznie obawiając się smarowania, biegł jeszcze prędzej i zgubił drogę, zmusiwszy tym sposobem niedoszłego wisielca do odbycia dwumilowej pieszej podróży z szybkością, której nie powstydziliby się nawet zbiegowie, umykający z ogólnej porażki.

Tymczasem intrygant Josek zajechał do wilczołapskiego dworu i zameldował się jaśnie panu.

Dziedziczny dobrodziej swojej parafji w tej chwili znajdował się w piekielnym humorze; dziś bowiem zrana miał bardzo ożywioną rozmowę z Gotliebem von Oschuster, który mu wprost powiedział, że Wilczołapy, wystawi na licytację, a co gorsza, że nawet szanownego właściciela ich, przy pomocy swego sprzymierzeńca Joska, wpakować może do aresztu!...

To też za ledwie Josek, ze zwykłym ukłonem, stanął w progu, Jan Chryzostom napadł na niego jak huragan:

— Nędzniku jakiś! — krzyczał dziedzic dóbr — oszukiwałeś mnie! Nie dość, żeś mnie na każdym kroku wyzyskiwał, aleś jeszcze wszystkie moje tajemnice zdradził przed tym łotrem Oschustrem!...

— Czego się jaśnie pan tak gniewa z przeproszeniem? — spytał handlarz, więcej zdziwiony niż przerażony.

— Nie mów do mnie, ty jaszczurko! Nikczemny słuگو dwóch panów!

— Jakich dwóch? — spytał znowu handlarz, patrząc mu w oczy z niesłychaną czelnością.

— Jaki jakich, zmijo? Naprzód służyłeś mnie, a później temu przybłędzie, i naturalnie oszukiwałeś obu.

— Ja jednego tylko pana mam — odparł Żyd spokojnie. — A wie jaśnie pan którego?... Oto pana Żabickiego.

Jaśnie pan, usłyszawszy to, stanął jak piorunem rażony, a Josek mówił dalej:

— A wie jaśnie pan, dlaczego?...

U jaśnie pana Josek zawsze stał na progu i nazywał się: „głupi Josek,” albo: „gałgan Josek” — a u pana Żabickiego Josek mógł nawet usiąść na krzeselku i nazywał się: „mój ty kochany Josek...” Jaśnie pan psy swoje głaskał, a nawet całował, a Joska jak się raz pan dotknął, to zaraz kazał sobie podać wody do mycia. Ale pan Żabicki nie brzydził się Joska poklepać po ramieniu i pozwalał nawet, ażeby go Joskowe dzieci w rękę całowały... Jakem ja zachorował, to pan Żabicki posłał swoje konie po doktora i dał mojej żonie pieniędzy na jedzenie i na lekarstwo. A jaśnie pan powiedział wtedy: „Niech sobie zdycha, ja na jego miejsce będę miał stu faktorów!...”

Jak kto Joskowi, tak Josek komu. Ja jaśnie pana okpiwał i tego gałgana Oschustra okpiwał, ale pana Żabickiego nie okpię. Niech on żyje sto lat! a jeżeli kiedy Pan Bóg biedę na niego zesłał, to Josek odda mu swój dom, swój majątek, a nawet ostatnią koszulę!

— Jak możesz, Jasiu, słuchać podobnego zuchwalca? Wypędź go zaraz! — zawołała pani Euzebja, ukazawszy się nagle we drzwiach drugiego pokoju.

Handlarz umknął, a dziedzic odparł z uśmiechem:

— Nie irytuj się, duszko! Musiałem go wysłuchać, ażeby zebrać materjały do zdemaskowania tego intryganta Żabickiego...

Taki tylko sens moralny ze słów Żyda wycisnął dziedzic Wilczołapów!...

NA BALU.

Bez względu na to, że w atmosferze wisiała gęsta mgła, a na ulicach powiatowego miasta leżało rzadkie błoto, bez względu na to, około dziesiątej wieczorem, naprzeciw wspaniałego hotelu „pod Gadającą Papugą” tłoczyła się gromadka gapiów, zbrojnych w parasole, kije, a nadewszystko w cierpliwość, pewna liczba biedaków płci obojej, którzy na bal składkowy mogli ofiarować najwyżej zdrowe nogi i dobre chęci, a nie będąc w stanie przyjąć fizycznego udziału w zabawie, postanowili przynajmniej nasycić wzrok widokiem skaczących cieniów, a słuch niewyraźnemi odgłosami muzyki.

Całe pierwsze piętro hotelu zajęte było na rzecz uczestników balu. Oprócz sali jadalnej, gdzie wyfrakowana służba ustawiała stoły w podkowę, znajdował się tam ubrany kwiatami gabinet dla dam; pozbawiony kwiatów, lecz zato upiękuszony butelkami gabinet dla mężczyzn, i obszerniejszy salon do odrobienia przyjętej zwyczajem liczby tańców. Rozkoszny ten przybytek oświecony był zapomocą kilkunastu kinkietów i dwu wieloramiennych pajaków, z których widocznie jeden był tylko przyrodnim bratem drugiego. Całe umeblowanie salonu stanowił długi rząd kanap i krzeseł, stojących pod ścianami, tudzież wielki malowany parawan, który zasłaniał jeden róg przybytku muz i dźwigał na sobie wizerunki Japończyków, łapiących ryby, Japończyków, pijących herbatę i Japończyków, siedzących w altanie.

Oprócz lokai, w salonie znajdowało się jeszcze pięć osób; gospodynie: panie Kukalska i Gęgalska w bardzo ogoniastych sukniach; gospodarze: panowie Żabicki i hrabia Wyporek, w czarnych jak węgle frakach i białych jak śnieg krawatach, a wreszcie jeden i jedyny uczony mąż, korespondent gazety... pan Bąkalski.

Szczupłe to grono w niewesołym widocznie znajdowało się usposobieniu; damy bowiem wraz z hrabią Wyporkiem ziewały, korespondent, zwany redaktorem, niespokojnie zaglądał do gabinetu z butelkami, a Żabicki mruczał:

— Niech ich lichy porwie! Mieli być punkt o dziewiątej, a jeszcze niema żywej duszy.

W tej chwili z ulicy doleciał turkot. Żabicki i Bąkalski poskoczyli do otwartego lufcika.

— Cóż to za procesja po drugiej stronie ulicy? — zapytał Żabicki.

Bąkalski wysunął głowę tak, że mało nie wyleciał za okno; włożył na nos binokle, a potem zawołał:

— Ach, to idzie jeden pan Donerstag starszy z jedną panią Donerstagową starszą i cztery panny Donerstag młodsze z czterema panami Donerstagami, jeszcze młodszymi od nich.

— Oczywiście błogosławieństwo Boże — mruknął Żabicki. — Ale cóż ten powóz tak zwolna się przybliża?

— Pewnie Żydzi wiozą wodę, albo państwo Letkiewiczowie jadą swoim ekwipażem.

Niebawem, naprzeciw bramy hotelu zatrzymała się liczna rodzina Donerstagów, prawie jednocześnie z karetą Letkiewiczów, ciągniętą przez cztery szkapy, kwalifikujące się raczej do transportowania karawanów.

Euzebja z hrabiów Patykowskich wychyliła głowę z okna karety i rzekła do lokaja:

— Spytaj się, czy już kto na bal przyjechał?

— Jeszcze nikt! — odpowiedziano z bramy.

— Niech stangret zawróci! — krzyknęła dama. — Nie jesteśmy piwowarami, ażebyśmy pierwsi mieli przyjeżdżać na bal.

Landara zwolna potoczyła się naprzód.

— Co to u diabła znaczy? — krzyknął stojący już w bramie Donerstag. — To widocznie umyślna szykana! Dzieci, zwracajmy do domu!

Po tej komendzie przednia straż bataljonu Donerstagów ukazała się na ulicy.

— Czyś pan oszalał, panie Donerstag! — krzyknął z lufcika Żabicki. — Co za dzikie grymasy!... Chodźcie natychmiast na górę.

— Ależ pan chyba nie słyszałeś, że nam wymyślają od piwowarów! — odparł z ulicy Donerstag.

— Przecież pan nie jesteś piwowarem, tylko garbarzem? No, chodźcie!... Nie psujcie zabawy.

Nastąpiła nadole krótka rada familijna, po której w kilka minut weszli do salonu czterej panowie Donerstagowie młodszy w czarnych garniturach, prowadzący cztery panny Donerstag młode, w zielonych sukienkach. Założyciele tej pięknej rodziny maszerowali w arjergardzie.

Po takim początku, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, sala poczęła się napełniać. Widziano tam panią Wietrznicką, obywatelkę ziemską z małżonkiem, który, zaplątawszy się w ogon żony, o mało że nie runął na ziemię. Widziano pana Frejtaga z piękną jedynaczką Halką, na którą ogromnie z ukosa spoglądał młody lecz zadłużony dzierżawca Birbantowicz. Widziano Fonsia Gęgalskiego, asesora Sontaga, adwokata Goldcwejga, Scyzorskiego lekarza, Pieprzkowskiego kupca, Bursztynowicza księgarza, tudzież mnóstwo innych wiejskich i miejskich obywateli, w towarzystwie żon, sióstr i córek.

Słuszność nakazuje wyznać, że piękna ta całość rozbiła się na dwie gromady: hreczkosiejów i mieszczan. Żabicki, paru lekarzy i Bąkalski starali się utrzymać między nimi jakąś łączność.

— Tęgi chłop ten Kukalski! — mówił Birbantowicz do redaktora.

— Ale pani Kukalska jeszcze tęższa... dźwiga bowiem na uszach ze sto korcy pszenicy.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że jej kolczyki tyle są warte — nie zrozumiałeś pan?

Rozpromieniony dzierżawca pobiegł czemprowadzając do pani Kukalskiej i rzekł:

— Wie pani co, że ta panna Frejtag, to jest tęższa od swego ojca.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona dama.

— Bo nosi aż czterech Żydów na plecach!

— Co to znaczy? — przerwała pani Kukalska, patrząc mu ostro w oczy.

— To znaczy, że u jednego Żyda kupiła muślin, u drugiego wstążki...

Wielka dama zerwała się z krzesła i z szelestem odeszła na drugi koniec salonu.

Birbantowicz nie posiadał się z radości.

— Panie Wietrznicki! — zawołał — udał mi się piekielny koncept!

— Jakież tam znowu?

— Spytaj się pan pani Kukalskiej — odparł triumfująco zadłużony dzierżawca.

Wietrznicki odszedł, lecz za chwilę powrócił.

— Cóż panu powiedziała? — zawołał Birbantowicz.

— Powiedziała, żeś pan dudek.

Już obrażony dowcipniś chciał wyzwąć na pojedynek Wietrznickiego, gdy nagle salon zatrzęsł się od śmiechu.

W otwartych drzwiach ukazał się jakiś blady, długowłosej mężczyzna, w wypukłych szafirowych okularach, który oprócz czarnego fraka, miał na sobie inne, bardzo wąskie ubranie w czarne i białe kraty.

— Bójcie się Boga, nie śmiecie się! — wołał zrozpaczony przyszedłszy redaktor. — To mój człowiek!... To mój reporter!... nasz znany poeta, pan Gwazdalski.

Tymczasem, źle ubrany, a jeszcze gorzej karmiony człowiek Bąkalskiego, wszedł spokojnie do

salonu, i zobaczywszy swego chlebobdawcę, szepnął mu do ucha z miną bardzo uroczystą:

— Zrobiłem wrażenie, co?

W tej chwili z za parawanu, pomalowanego w japońskie figury, odezwały się uroczyste dźwięki poloneza, wykonanego dość zgodnie przez flet, trąbkę, skrzypce i basetlę.

Żabicki podał rękę najstarszej wiekiem księgarzowej Bursztynowiczowej, garbarz Donerstag pani Kukalskiej, i sznur obejmujący przeszło pięćdziesiąt par posunął się dokoła sali.

Niestosownie ubrany reporter i poeta, któremu poczucie osobistej godności nie pozwalało tańcować, ze zdziwieniem zauważył, że każda z dam, przechodzących obok japońskiego parawana, zasłaniała twarz chustką. Uspokoił się jednak, pomyślawszy, że to była figura poloneza. Lecz tańczący z panną Pieprzkowską Goldcweyg innego był zdania, zwróciwszy się bowiem do Scyzorskiego, rzekł półgłosem:

— Za tym parawanem muszą być moi współwyznawcy, czuję bowiem cebulę.

Szary koniec wybuchnął śmiechem.

Polonez ukończył się nadspodziewanie prędko, a zaczerwieniony z gniewu Żabicki pobiegł do parawana, wołając:

— Co wy tu wyrabiacie, hultaje?!

— To nic, proszę jaśnie pana — odpowiedział trębacz — tylko mnie się trochę jeść zachciało i dobyłem z kieszeni śledzia. Alem go nawet nie skosztował, na moje sumienie!

Drobny ten wypadek nie zepsuł jednak zabawy. Dzięki energii Żabickiego i Bąkalskiego, obie grupy, wiejska i miejska, poczęły się zlewać.

— Panie Alfonsie — mówił do Gęgalskiego korespondent — wejdź-no pan do mieszczańskiego kółka, potańczuj z naszymi paniami!... Cóżto, przecież pan jesteś arystokratą liberalnym.

— Liberalny, słowo honoru! zgadłeś pan — odparł Fonsio i począł hulać pokolei, naprzód z córką garbarza, później z żoną piwowara, a następnie z siostrzenicą kupca korzennego.

— Panie Birbantowicz — mówił znowu Żabicki — dlaczego pan nie tańczysz z panną Frejtag? Toż to dziewczyna, jak jagoda!

— Rozumie się, żebym tańczył, ale się boję jej ojca, któremu winien jestem trzysta rubli.

— Ożeń się pan z nią, to dostaniesz te trzysta rubli w posagu.

— A wiesz pan, że to znakomita myśl! — odparł Birbantowicz, któremu szklily się oczy, skutkiem zbyt długiego oglądania pewnej wysmukłej flaszki.

Za chwilę potem odświeżył znajomość ze starym mydlarzem Frejtagiem, przetańczył z jego córką walca, potem wpadł do męskiego gabinetu (na ochłodzenie), znowu z tąż samą panną przetańczył polkę (znowu się ochłodził), a nareszcie siadł przy Frejtagu i rzekł:

— Wiesz pan co, że z satysfakcją starałbym się o pannę Halinę.

— Już się o nią postarał pan Golski! — odparł surowo mydlarz i przeszedł do innego towarzystwa.

Zaperzony Birbantowicz złapał Bąkalskiego.

— Mój kochany — rzekł — kto to jest ten pan Golski?

— Czeladnik Frejtaga — odparł Bąkalski.

— A niechże go djabli porwą!... złapał mi pannę z przed nosa... Ale zaklinam cię na honor, nie mów o tem nikomu, bo mnie skompromitujesz.

Bąkalski przyrzekł jak najuroczyściej zachować milczenie do grobu; mimo to jednak, w pięć minut niespełna, wszyscy już wiedzieli, że w wyścigach matrymonjalnych, zadłużonego dzierżawcę czeladnik mydlarski pobił na głowę.

Tymczasem czteroinstrumentowa muzyka grała, rozochoceni wieśniacy i mieszczenie hulali tak,

że aż się dom trząsał, a ceniący swoją godność poeta i reporter Gwazdalski rozmawiał w kącie z jakąś o tyle chudą, o ile wydekoltowaną starą panną z złotem piórkiem na głowie.

— Czy pan lubi wieś? — pytała niefortunna piękność źle ubranego poetę.

— O pani! ja lubię wieś, ja kocham wieś tak, że chętnie dla niej zamieniłbym moje dzisiejsze, wpływowe stanowisko, nawet na nic nie znaczącą posadę rządcy.

Dama z złotem piórkiem westchnęła, a stojący obok Goldcwejg rzekł do poetę:

— W każdym razie awansowałbyś pan.

— A to jakim sposobem? — spytał z namaszczaniem wieszcz prowincjonalny.

— Bardzo prostym — odparł uszczypliwy adwokat. — Na wsi byłbyś pan ekonomem, a tu jesteś tylko pisarzem u Bąkalskiego.

Szczupła piękność udała, że nie słyszy, sądząc zapewne, że ujęty tą dobrocią poeta zechce, jeszcze może w bieżącym karnawale, uwolnić ją od ciężkiego brzemienia samotności.

Nieszczęściem jednak, na jasnym widnokręgu sali balowej ukazał się punkt czarny.

Powiedzieliśmy, że obywatelski syn, Fonsio Gęgalski, tańczył z hożemi mieszczańkami tak, jak gdyby zamiast być siostrzeńcem hrabiego, był co najwyżej płatnym od sztuki dependentem młodego adwokata. Liberalna ta i wysoce obywatelska jego działalność zniknęłaby może w tłumie jej podobnych, gdyby nie to, że Fonsio był ogromnie kontent i ukontentowanie swoje manifestował skokami tak gwałtownymi, że aż zwróciły one uwagę mamy Gęgalskiej.

— Fonsiji! — rzekła dama surowo — dlaczego tańczysz z temi nieznanymi osobami, skoro masz swoje towarzystwo?

Zmydlony Fonsio postanowił od tej pory tańczyć tylko ze szlachciankami, co najmniej od sześciu pokoleń.

Ubytku Fonsia nie dostrzegło kółko mieszczańskie; zastąpili go bowiem dwaj ubodzy urzędnicy, niezmordowani bracia Pietruszkiewiczze, z których każdy tańczył tak zapamiętale, jak gdyby od czynności tej zależał pokój Europy, zachowując przytem powagę karawaniarzy, eksportujących nieboszczyka pierwszej klasy.

Lecz jeżeli niestrudzona działalność braci Pietruszkiewiczów wystarczała w walcach, polkach i kontredansach, to nie mogła jednak wystarczyć w mazurze. Wprawdzie dwaj ubodzy bracia hulali tak, że aż jeden z nich o mało że nogami nie potargał włosów drugiemu, nie mniej jednak czuć było potrzebę tancerzy.

W takich to okolicznościach, asesor Sontag, trzymając pod rękę dwie miłe panienki pochodzenia mieszczańskiego, zbliżył się z niemi do Fonsia i rzekł:

— Fijolek czy róża?

— Przepraszam pana, ale ja tu mam swoje towarzystwo!

— Przecież tu nie owczarnia! — odparł Sontag i poszedł do kogo innego.

— Wuju, hrabio! — wołał zaperzony Fonsio do hrabiego Wyporka. .

— Czego chcesz?

— Nie wiem, co mam zrobić... pan Sontag ubliżył mi... powiedział mi, że jestem z owczarni.

— Uspokój się, drogi Fonsiu — wtrącił słuchający tego Bąkalski — przecież nie nazwał cię owczarzem.

— No, to prawda! ale chciał mi dać przez to do zrozumienia, że jestem baranem!

Wuj hrabia zieleniał i darł rękawiczki, inni zaś śmieli się jak opętani, słuchając tej jedynej w swoim rodzaju rozmowy. Niewiadomo, do czego by przyszło, gdy wtem goście ruszyli do sali jadalnej.

Każdy usiadł przy stole w towarzystwie swej damy. Gwazdalskiemu przypadła w udziale

pełnoletnia piękność z żółtem piórkiem, Bąkalski zaś, który usiadł naprzeciw niego, zamiast jednej damy miał przy sobie dwu przyszłych prenumeratorów i dwie butelki, nie licząc trzeciej pod stołem. Przy kolacji wystąpiło na jaw szczególnego rodzaju współzawodnictwo. Wieśniacy starali się przejeść i przepić mieszczan, mieszczenie usiłowało przejeść i przepić wieśniaków. Z drugiej znowu strony, wieśniaczki chciały mniej jeść od mieszczanek, a mieszcżanki jeszcze mniej od wieśniaczek. Słuszność nakazuje wyznać, że redaktor, w tej walce pragnień i apetytów, prześcignął wszystkich; lecz biedny jego współpracownik najniezawodniej umarłby z głodu, gdyby nie poświęcenie osoby z żółtem piórkiem. Nieszczęśliwy poeta najgorzej wyszedł przy rybach; Bąkalski bowiem, wzięwszy sobie kark, jemu oddał głowę szczupaczą tak wielką, że się już nic obok niej na talerzu pomieścić nie mogło. Rozpoczęto wnosić toasty, między którymi Żabicki odezwał się z następującym:

— Damy i panowie! ten kielich piję za zdrowie naszego znakomitego kierownika opinii publicznej — Bąkalskiego!

— I jego człowieka! — odezwał się głos z tłumu.

W odpowiedzi na to, naczelny korespondent wspomniął o wynalezionych przez siebie ideach liberalnych, a także o stu pięćdziesięciu tysiącach prenumeratorów gazety, jaką swym talentem podpira. Wkońcu zaś rzekł:

— A teraz damy i panowie! wnoszę toast na cześć naturalnego przewodnika naszej wiejskiej inteligencji, mecenasa literatury, hrabiego Wyporka.

— Zapłaciłem mu! — dodał mówca, siadając. — Trzeba wam wiedzieć, że ten hrabia nie prenumeruje żadnego pisma krajowego i nigdy w rękach nie miał mojej gazety!

Zkolei podniósł się blady jak śmierć hrabia Wyporek i uronił to pamiętne słowo:

— Miło mi jest, damy i panowie! będąc w tak nobliwym towarzystwie. Flatuję sobie, że na rok przyszedł nie ominiemy powtórzenia sobie tę przyjemność.

Wszyscy dali brawo, choć nikt nic nie rozumiał.

— No, i mówić tutaj, że hrabia nie harmonizuje z mieszczaństwem! — szepnął ktoś do Bąkalskiego.

— Z mieszczaństwem — nie wiem, ale że nie harmonizuje z gramatyką, to jest więcej niż pewne! — odparł oburzony Bąkalski, a potem zwracając się do swego reportera, dodał drżącym z gniewu głosem:

— Panie Gwazdalski! słyszałeś te językowe herezje? Zróbże mi pan z tego artykuł, tak — na sto wierszy, zerznij na sieczkę, a jeżeli jędrnie napiszesz, dam ci po... półtora grosza od wiersza.

Goście wstali od stołu, i zaczęły się tańce nanowo, z większą jeszcze werwą niż poprzednio. Koło trzeciej rano, postanowiono odtańczyć lansjera mieszanego: wiejsko-miejskiego. Już grupy wystąpiły na środek, już rozległy się dźwięki tego eleganckiego tańca, już pan Donerstag ukłonił się pani Kukalskiej, a pani Kukalska panu Donerstagowi, gdy wtem...

— Aj waj! Feuer!... — ryknął jakiś nieludzki głos zza parawana, poczem japoński parawan runął na ziemię, na niego krzeselko z basetlistą i z basetlą, a na basetlistę pierwszy skrzypek.

Jednocześnie usłyszano w całym salonie silny śwąd. Wszczął się straszliwy popłoch. Herbowni i nieherbowni jak stado owiec zbili się w jeden kąt. Czterej bracia Donerstagowie tubalnymi głosami poczęli krzyczyć: „Wody!...” Dwaj ubodzy bracia Pietruszkiewiczze uciekli do przedpokoju, wołając: „Gdzie nasze paletoty! gdzie kalosze!” Nierozwinięty Fonsio rzucił się do okna, chcąc wyskoczyć na ulicę, a interesująca dama z żółtem piórkiem padła w objęcia zagłodzonego poety. Powoli jednak rozjaśniła się sytuacja. Przekonano się, że podczas kolacji czterej muzykanci, zjadłszy trzy śledzie, zaczęli palić papierosy przy otwartym piecu. Gdy goście wrócili do salonu, flecista, rzuciwszy w piec niezagaszonego papierosa, nie zaniknął drzwiczek, przy których usiadł pierwszy skrzypek i

zapalił sobie połę surduta. Dopóki tlił się surdut, a dym szedł do powietrza, wszystko było bardzo dobrze, lecz gdy ogień zbliżył się nieco do doczesnej powłoki pierwszego skrzypka, artysta ten, z okrzykiem: „Feuer!” — skoczył jak szalony na basetlistę i zaalarmował towarzystwo.

Gdy wyniesiono parawan, uspokojono damy i muzyków, przerwany wiejsko-miejski lansjer zaczął się nanowo, lecz szedł nieosobliwie, pierwszy bowiem skrzypek co chwila grę przerywał.

— Grajże porządnie, hultaju jakiś! — rzekł do niego Żabicki.

— Kiedy tak mnie boli, jaśnie panie!... — odparł płaczącym głosem artysta.

Wkrótce, najlepszy grajek stał się kompletnie niezdolnym do użycia, a błąha ta napozór przyczyna sprawiła to, że bal się przerwał, i około czwartej goście rozejść się musieli do domów, z wielkim żalem czterech panien Donerstag i piątej damy z złotem piórkiem, która nie zdążyła jeszcze podbić serca melancholicznego Gwazdalskiego.

VI.

NIECO TRAGEDJI.

Nadszedł wielki post, epoka ogólnego opamiętania. Po karnawałowych szaleństwach młodzi mężczyźni wrócili do rozwagi i nanowo poczęli wygrzewać miejsca przy zielonych stolikach, albo dreptać około bilardów. Zdesperowani ojcowie, straciwszy nadzieję wyprawiania wesel swoim córkom, jeszcze niżej niż w adwencie opuścili głowy i nosy. Młode panny wreszcie, przestawszy wzdychać po tańczących wieczorach, poczęły zkolei wzdychać do majówek, podprawionych kwaśnem mlekiem, rzewnym śpiewem słowika i jeszcze rzewniejszym gruchaniem elegantów, którym szczupłe dochody nie pozwalają zostać twórcami domowych ognisk.

Krótko mówiąc, towarzyski ruch osłabł w całej okolicy, z wyjątkiem wilczołapskiego folwarku, w którym naodwrot znakomicie się ożywił. Na wszystkich drogach, wiodących do majątku państwa Letkiewiczów, widziano mnóstwo nieznanych osób. Czyby mieszczenie, ujęci uprzejmością dziedzicznych dobrodziejów parafji, składali im wizyty? Czy może umarł, na jakimś nieznanym punkcie ziemi, ów domyślny krewny milioner, napędzając tym sposobem tłumy pochlebców na progi swoich sukcesorów? Gdzie tam! gdzie tam!... Owe osoby nieznane byli to wierzyciele, komornicy i woźni, którzy połączonemi siłami pod kierunkiem Gotlieba von Oschuster wydzielali Letkiewiczom ich ostatnie schronienie!

Nareszcie, pewnego dnia oznaczono stanowczo termin licytacji, a państwo Letkiewiczowie znaleźli się bez dachu i bez grosza.

W tej to krytycznej chwili, po raz pierwszy i ostatni, zajechały na podwórze ich niegdyś folwarku wygodne kryte sanie, z których wysiadł pewien czerwony, tęgo zbudowany szlachcic ze straszliwemi wąsami. Przybysz, nie meldując się, wszedł do pokoju i rzekł do wywłaszczonych:

— No i cóż, wszystko skończone, sąsiedzi?...

— Wszystko, panie Żabicki!... — odparł, załamując ręce, Letkiewicz. — Zgubił nas ten łotr von Oschuster!

— Damy i jemu radę — odparł Żabicki (on to był bowiem) — a tymczasem siadajcie i jedźmy.

I otóż stało się, że dwoje tych zepsutych dzieci, starych sierot, znaleźli na resztę dni przytułek w domu uczciwego i rozumnego człowieka. Z wielkiego majątku nie wzięli biedacy ze sobą prawie nic, oprócz wspomnień lepszych czasów, francuskiego języka, tudzież trójguzikowego fraka, ponsowej kamizelki i podartych kamaszy swego ostatniego lokaja.

Śmieszne i bolesne pamiątki!

Tymczasem we wsi z niemałym zdziwieniem dostrzeżono, że bogaty Wojciech brata się ciągle z trzymorgowym biedakiem, głupim Szymkiem. Ciągle widywano ich razem, a każdej prawie niedzieli Szymek upijał się za Wojciechowe pieniądze.

— Ho! ho! mądry, chłop z tego Wojciecha! — mówili sąsiedzi. — Zachciało mu się być wójtem, to i zaczyna pomaluśku ludziom fundować.

Ale dwa nowi przyjaciele nigdy ze sobą nie gadali o wójtostwie, tylko o Josku i jego figlach. Wojciech przypominał ciągle bursztyn, Szymek procenta, jeden i drugi zaś utyskiwania swoje kończyli pobożnem życzeniem:

— Oj! żeby temu Żydowi już raz gdzie djabli kark skręcili.

Pewnego śnieżnego i wietrznego dnia, przyjechał Josek do wsi i zapowiedział Szymkowi, że pojedzie z nim po towary.

— A wiele zapłacita? — spytał Szymek.,

— Co wy gadacie, Szymku? — krzyknął zdziwiony handlarz. — Ja wam będę płacił, a co się stanie z moim procentem?

Szymek począł się skrobać w głowę.

— No, no! — ciągnął dalej Josek. — Nie marudźta, ino koniom podsypa obroku. Ja u was dziś przenocuję, jutro skoro świt wyjedziemy, a na wieczór wrócicie do chałupy.

Markotny Szymek poszedł do Wojciecha na radę.

— Wojciechu! — rzekł — pożyczta mi pięć rubli dla tego Żyda... Znowu mnie goni po towary.

— Skąd jabym wziął pięć rubli? — odparł chytry Wojciech. — Żeby tak na mnie — dodał — tobym się z nim w oczymnieniu sprawił!

— Jakżebyśta się sprawili?

— Jak?... A zagłobiłbym psiawiarę i basta!

— A bo to tak można? — spytał z powątpiewaniem Szymek.

— Co nie ma być można? Kiedy nocuje w stodole, tobym go oprawił na miejscu, a potem zawłókł do lasu. Niechby tam wilki dokończyli!

— Zawdy to grzech! — wtrącił nieśmiało Szymek. Wojciech oburzył się.

— O dla Boga! jaki grzech? A toż ci on gorszy zbój, bo nietylko was kudła, ale i mnie jeszcze oszwabił!

Na tem skończyła się rozmowa, po której Szymek wrócił do chaty i aż do wieczora w ponurem zamyśleniu pod piecem przesiedział. Gdy noc nadeszła, zjawił się handlarz i zajął przeznaczone mu miejsce w stodole.

Około północy powstała gwałtowna zawieja. Wiatr wył, szumiące drzewa gięły się ku ziemi, a cały widnokrąg zapełniła gęsta kurzawa śniegu. Uboga Szymkowa chata trzęsła się w posadach, skrzypiały ściany, trzeszczał dach, a na kominie śnieg resztę żaru zagasił.

— W imię Ojca i Syna... a to złe tańcuje na dworze! Pewniakiem ktoś się powiesił! — mówiła Szymonowa kobieta, obudziwszy się ze snu.

Mąż jej drgnął, lecz nie odezwał się ani słowa.

— A czemuż ty się, stary, nie kładziesz? — zapytała znowu.

— Muszę jeszcze wóz opatrzyć i koniom obroku dosypać — odpowiedział Szymon i wyszedł z izby.

W sieni, potykając się i zataczając, wyszukał poomacku siekiery, i z nią wysunął się na dwór.

Kiedy otworzył drzwi, zawieja była tak straszna, że nie mógł nic widzieć na długość własnej ręki. Przez chwilę zdawało się Szymkowi, że mu jakaś nadludzka siła nie daje progu przestąpić, to wiatr wpychał go napowrót do chaty, to śnieg bił po twarzy i oślepił.

Doszedłszy do środka podwórza, Szymek nagle stanął.

Zdawało mu się, że wichry gwarzą ze sobą nad jego głową i radzą, aby go porwać.

Znowu począł iść naprzód, lecz bardzo powoli. Przerażał go skrzyp śniegu pod nogami, jak złodzieja, który do cudzej komory wchodzi.

Nagle, wyciągniętą przed siebie ręką uderzył o coś: były to drzwi stodoły. Szymek przeżegnał się i wszedł.

Głośnie chrapanie wskazało mu dalszą drogę. Szymek wszedł na środek stodoły i nagle zatrzymał się. U nóg jego, twardej snem ujęty, leżał handlarz.

Chłop pochylił się nad nim, targnął go parę razy za ramię i rzekł:

— Wstawaj, Żydu!

— Kto to jest? — spytał rozmarzony Josek, siadając na swem lichem posłaniu.

— No, ja!...

— Jakie ja?

— No ja, Szymek!

— Czy już pora jechać? — spytał handlarz.

— Pora ci jechać na kirkut! Josek zupełnie oprzytomniał.

— Co wy gadacie? — Zwarzowaliście, Szymku, czy co?

— Com miał zwarjować?... Zapłacę ci twoje pięć rubli, nie bój się!

— Ja się nie boję! ja nie chcę pięć rubli! naco takie żarty?... Przez wasze głupstwo, to mi tak serce bije, że strach!

— Ja tam nie żartuję, ino naprawdę przyszedłem ci tu śmierć zrobić, bestyjo!

— Aj waj!

— Cicho, Żydu! — przerwał Szymek, potrącając go ręką w głowę. — Pomodliłbyś się lepiej w tej ostatniej godzinie.

— Będę się modlił! — odparł handlarz, trzęsąc się jak galareta. — Aj waj! niech Pan Bóg da zdrowie panu Szymonowi za jego żarty takie.

— Ty nie żartuj, paro, ino śpiewaj majufes, póki czas!

— Już będę śpiewał! — odparł handlarz.

Istotnie zaczął śpiewać, naprzód zwolna i cicho, potem, coraz prędzej i coraz głośniej.

— Nie drzyj się tak! — ostrzegł go Szymek.

— Już się nie będę darł! — odparł handlarz i począł śpiewać jeszcze głośniej.

Oryginalna to była sytuacja! Na dworze jęczał żałośnie wicher, a w stodole jeszcze żałośniej jęczał modlący się Josek. Szymon z uwagą przysłuchiwał się jednemu i drugiemu, instynktem przeczuwając, że położenie jego staje się coraz bardziej kłopotliwe. Nagle, nad jękiem wiatru i śpiewem Joska wziął górę jakiś trzeci głos, śpiewający prawie tuż obok stodoły, następną zwrotkę:

A trząchnijże, dziewko, sobą, Bo mi źle tańcować z tobą! Śkikasz ino kole boku, Niby torba od obroku.

— Gwałt!... rozbójstwo!... zabijanie!... — wrzasnął handlarz, usłyszawszy tę zwrotkę, i zerwał się na równe nogi.

Najpierwsza tancerka warszawskiego baletu pozazdrościłaby mogła Joskowi skoków, jakie od tej chwili w ciemnej stodole wyprawiać począł. Nie przestając krzyczeć w niebogłosość i wymyślać Szymkowi, na czem świat stoi, przestraszony Żydek biegał po całym zapole, pięściami i nogami bił w ścianę, zsunął się z dużej sterty słomy, a wreszcie cudem jakimś dosięgnął ręką strzechy.

Schwycił się za krokiew, lecz ta pękła, a Josek spadł na głowę Szymkowi i przewrócił go na ziemię.

Leżąc na klepisku, zobaczył przypadkiem, u dołu bramy wychodzącej na pole, dość wielki otwór, przez który chciał się wysunąć.

Krzyki Joska usłyszeli powracający z karczmy włościanie, i przystąpiwszy do bramy, zapytali:

— A co się tam wyrabia, kej!

— Rozbójstwo! — krzyczał uwięziony w bramie Josek. — Wyciągnijcie mnie stąd, moi złoci.

Włościanie, zobaczywszy głowę i ręce handlarza, szarpnęli go do siebie, jednocześnie Szymek pociągnął go za nogi do stodoły. Bóg wie, jak długo trwałaby ta walka, gdyby nie interwencja Szymonowej, która usłyszawszy hałas, wpadła na pole bitwy i odprowadziła męża do chaty..

Josek, wydobywszy się z nieszczęścia, pędem pobiegł do karczmy, gdzie przez całą noc trzeźwiono go i uspakajano. Szymek zaś na drugi dzień został aresztowany i odstawiony do miasta.

Nadeszły dla nieboraka przykre chwile, był bowiem oskarżony o chęć dokonania zabójstwa na osobie „niewinnego i skądinąd uczciwego handlarza Joska.”

Bronił Szymona Goldcwejg. Wymowny adwokat zauważył przedewszystkiem, że „niewinny i skądinąd uczciwy” jego współwyznawca Josek był wielkim intrygantem i nicponiem, który przyczepiwszy się do ciemnego i nierozwiniętego wieśniaka, wysysał go jak pijawka. Że powtóre, nękanym przez handlarza Szymek powziął nierozsądny zamiar nastraszenia go wśród nocy. Że wreszcie, o usiłowaniu zabójstwa mowy nawet być nie może, nikt bowiem, chcąc kogoś zamordować, nie budzi go, a tem mniej nie daje czasu do odśpiewywania modlitw.

Najważniejszą jednak obroną była z jednej strony głupota Szymka, z drugiej zaś przestach Joska i ciemna noc, skutkiem czego handlarz zapytywany: jaką bronią chciał go zabić podsądny? — raz odpowiadał, że drągiem, drugi raz, że fuzją, trzeci — że siekierą.

Skończyło się więc na tem, że Szymek posiedział parę miesięcy w kozie, a nastraszony Josek, w swoim i swoich następców imieniu, wyrzekł się lichwiarskich procentów, a nadewszystko stosunków „z ordynaryjnymi chłopami.”

VII.

ZAMKNIĘCIE.

Tak tedy w sprawie wilczołapskiego majątku, panem sytuacji pozostał von Oschuster. On przejął znaczną część długów, urządził licytacją i rozporządzał znakomitemi funduszami. Do walki z nim stawiała spółka: Żabicki, obywatel ziemski, Sonabend, piwowar i Szaja Morgenbrot, kapitalista.

Walka miała być zaciętą, spółka bowiem berlińska chciała wejść do kraju, spółka miejscowa nie chciała jej dopuścić; prócz tego, obu stronom chodziło o eksploatację torfu, którego znaczne pokłady znajdowały się w Wilczołapach.

Wyznać należy, że Żabicki i Sonabend powątpiewali o zwycięstwie, wiedząc, że więcej niż dwakroć za majątek dać nie warto, i że z drugiej strony von Oschuster w interesie swoich mocodawców licytować będzie jak najwyżej. Na obawy ich jednak Szaja odpowiadał uśmiechem, twierdząc, że agent do licytacji nie stanie.

Na dwa dni przed stanowczym terminem, Szaja, nie uprzedzając o tem nikogo, udał się do mieszkania von Oschustra. Rozdrażniony a pewny swego agent przyjął Żyda z nietajonym gniewem i pogardą. Sędziwy jednak kapitalista nie zrażał się tem; choć nieproszony, spokojnie usiadł na krześle i rzekł:

— Nu, jakże będzie z naszym interesem?

— Chcecie zapewne odstępnego? — spytał agent.

— Nie, my tylko chcemy, ażebyś pan do licytacji nie stawał — odparł Szaja.

— Tam!... — krzyknął agent, wskazując drzwi Żydowi.

— Jak ja pójdę tam, to pan pójdiesz tam!... — odpowiedział Żyd, wskazując na okno, za którem w pewnej odległości widać było więzienie.

— Co to znaczy? — spytał zmieszany von Oschuster.

— To znaczy, że ja znam pańskie interesa z naszą okowitą i pruskiemi materjami. Nu, a kto teraz pójdzie tam?...

Agent spuścił głowę i szepnął:

— To jest niegodziwość!

— To nie jest niegodziwość, tylko porządek rzeczy. Cały interes jest w tem, że my mamy grunt pod nogami, a pan go nie masz.

Jakoż stało się według zapewnień Szai. We dwa dni von Oschuster był już gdzieś około Berlina, a Żabicki, Szaja i Sonabend stali się właścicielami Wilczołapów i jeszcze w tym samym roku przystąpili do eksploatacji torfu, który im i całej okolicy duże zyski przynosi.

Pozostaje nam jeszcze parę słów do powiedzenia o innych osobach.

Dzięki Żabickiemu, państwo Letkiewiczowie uratowali kilkanaście tysięcy ze swej fortuny, z których to pieniędzy, mąż, ulegając duchowi czasu, otworzył w mieście powiatowem sklep produktów wiejskich. Znękana pani Euzebja Letkiewiczowa, po krótkim oporze, zgodziła się na to wysoce demokratyczne stanowisko; nie przestała jednak marzyć o pałacu z dwiema wieżami i kuchniami w suterynach, a najszcześniejszą jest wtedy, gdy komuś z nowych znajomych pokazać może trójguzikowy frak, ponsową kamizelkę i zdezolowane kamasze swego ostatniego lokaja.

Młody Sontag ożenił się z panną Scyzorską, i dziś mają już chłopca, dużego jak strucla, a krzykliwego, jak pierwszy tenor opery włoskiej. Goldcweyg jednak nie żeni się, twierdząc, że jeżeli dziś jest przyjmowany wszędzie, to jednak gdyby wszedł w związki małżeńskie, wówczas przed nim i jego żoną mogłyby się zamknąć drzwi wszystkich domów.

Czy może być prawdą, ażeby wszystkie drzwi i wszystkie serca zamknęły się przed nimi?

Bakalski dla swojej gazety doczekał się już kilku prenumeratorów; szczepi po dawnemu idee liberalne i postępowe, i mimo swych dziwactw, cieszy się ogólną sympatją. Jego zaś człowiek i gubernjalny poeta Gwazdalski, dowiedziawszy się, że pełnoletnia dama z złotem piórkiem może mieć około trzydziestu tysięcy posagu, myśli na serjo o sakramencie małżeństwa, na którą to uroczystość, celem uznania swoich zasług, pisze sobie bardzo długą odę.

Przygotowano na podstawie bookini.pl